

szkań, ale tylko w dwóch były łazienki... Mieszkania te nie na naszą kieszeń.

— Czy dała mama zadatek?

— Nie, gdyż chcę, ażebyście obaczyli sami, pójdziemy jutro rano, bo obawiam się, że ktoś najmie... Irenko, nalej mi herbaty... Czy był wuj może?

— Nie, mam i zdaje mi się, że jego rady nie przydadzą się nam na nic — mówił Roman — to człowiek innego pokroju, innych zapatrywań.

— Ale on zna Kraków i może ci dać cenne wskazówki.

— Tylko, że nie przychodzi — uśmiechnęła się Irena, stawiając herbatę.

— Pewno nie mógł znaleźć czasu... Paulisia mi mówiła, że bardzo zajęty. Nie tylko rano idzie do biura, ale i popołudniu, taki nawał pracy. Skarżyła mi się też Paulisia, że jego przełożony obciąża go rozmyślnie nadobowiązkową pracą.

— Ale chyba cioci i Klimci nie obciąża — zaśmiała się Irena — a jednak nie przychodzą.

— Kto wie, czy nie byli?

— W takim razie zostawiłyby bilety — upierała się Irena.

— Może i dobrze, że nie przyszły w mojej nieobecności — uśmiechnęła się matka — byłabyś Irenko jakiego baka strzeliła.

— Ależ mam, przez samą ambicję byłabym bardzo uprzejmą i dobrze wychowaną panną — zaśmiała się.

Nazajutrz poszli obejrzeć mieszkanie. Była to niewielka, jednopiętrowa kamienica, brudna, odrapana, z małymi oknami. Na parterze z jednej strony mieszkał introligator, a zapach kwaśnego kleju napelniał wielką sien. Z drugiej strony mieścił się sklep spożywczy, z magłem w przyległej izbie. Podwórce dość obszerne, źle wybrukowane, było zaśmiecone. Stały tam dwa wozy z pustymi białkami mlecznymi, a dwie pary koni jadły ze żłobu pod parkanem obrok.

— No, zapachy i towarzystwo nieszczególne — zrobiła uwagę Irena.

— Wczoraj nie było tych wozów i koni — tłumaczyła się matka, a widząc człowieka nadchodzącego z podwórza, zwróciła się do niego: — proszę pana, gdzie tu stróż?

— Ja nie tutejszy, ale spytaj pani gospodarza — rzekł, wskazując na podwórce, gdzie stał gruby, tęgim mężczyzną, z wąsem szpakowatym.

Posłyszawszy on rozmowę, gdyż ciężkim krokiem zbliżył się, wołając z daleka:

— A czego tam?

— Chcemy mieszkanie obejrzeć — odpowiedział Roman — to, na pierwszym piętrze.

— A kto taki chce nająć? — spytał, podchodząc bliżej i pilnie przypatrując się przyszłym lokatorom.

— My. Czy można obejrzeć?

— A oglądajcie, bez cóż nie?

— Może zbyt wcześnie? — rzekł Roman.

— Ii, dzień przecież... chodźcie państwo, sam poprowadzę.

Szli po schodach brudnych, wytartych, z poręczami lepkiemi od brudu. Gospodarz, przy drzwiach ujął rączkę dzwonka i potrząsł. Po chwili dał się słyszeć niewieści głos:

— Kto tam?

— Chcę oglądnąć mieszkanie, niech pani otworzy.

— Teraz nie można... nieubrana jestem.

— Cóż to za brewerye! — zawołał surowo — nikt tam panią nie będzie oglądał, tylko mieszkanie.

— Daj pan pokój — prosił Roman — przyjdziemy później obejrzeć mieszkanie.

Gospodarz ledwie spojrzał na niego, a potrząsając drzwiami krzyknął:

— Otwórz pani, a nie, to zapłacisz mi pani za cały kwartał, nie daruję ja swej krzywdy.

— Za chwilę otworzę... proszę zaczekać.

— Dobrze, że poszedłem z państwem — uśmiechnął się gospodarz — bo byłaby nie otworzyła... — a to córka pani? — pytał, wskazując ręką na Irenę.

— Tak jest.

— Pewno to syn. A cenę wie pani?

— Wiem.

— I musi pani akuratnie płacić, co pierwszego, ani jeden dzień później. Pani wdowa? Co? — a na jej potwierdzające skinienie głową, indagował da-

lej. — To pensję bierze pani każdego drugiego, to już zaczekam do drugiego... A gdzie pani mieszkała dotychczas?

— Przyjechaliśmy do Krakowa — odpowiedział Roman chmurny, gdyż drażniło go zachowanie się gospodarza.

— A skąd?

— Z Warszawy.

— Aha! — patrzył badawczo i podejrzliwie — to z Królestwa? W takim razie zapłacicie mi państwo za kwartał z góry. Inaczej nie wynajmę.

— Dlaczego za kwartał, gdy wszyscy płacą tu miesięcznie? — sprzeciwił się Roman.

— My swoich znamy — mówił twardo gospodarz — każdy bierze pensję pierwszego i płaci, a Królewscy nie mają żadnej pensji, ot, przelotne ptaki. Dziś jest, a jutro szukaj go gdzieś u Moskali... Tak, powiadam dokumentnie, z góry za kwartał, albo basta z całego interesu.

— Dobrze, panie gospodarzu, płacimy kwartał — odezwała się matka.



Proszę was, czy tu są mieszkania do wynajęcia?

— I wymówienie mieszkania na sześć niedziel, inaczej nie.

— Niech będzie sześć tygodni — mruknął Roman.

Drzwi się otworzyły. Pierwszy wszedł gospodarz, żartując z głośnym śmiechem:

— Ano, wykoślała się pani przecie. Pokoje suche, jak pieprz — tłumaczył nowym lokatorom — ulica cicha, spokojna, ale i w mieszkaniu na żadne krzyki, brewerye i zbiegowiska nie pozwalam... ano oglądajcie sobie.

Z ciemnego, małego przedpokoju wchodziło się do pokoju frontowego, z dwoma oknami, za nim z lewej strony był wązki pokój, z jednym oknem, a drzwi na prawo prowadziły do pokoju od podwórza, który łączył się z małą kuchnią. Sufity niskie, ściany z wytartym malowaniem, ale wogóle było jasno, gdyż ulica w tym miejscu trochę się rozszerzała.

Irena i Roman mieli miny przygnębione, ale nie chcąc martwić matki, godzili się na to mieszkanie.

Już mieli wychodzić, gdy Roman spytał gospodarza:

— A czy jest piwnica? strych?

— Jakże pan chciał — zaśmiał się — jest jedno i drugie. W mojej kamienicy wszystko w porządku.

— A gdzie wygodka?

— Jest w podwórzu — i ciągnąc Romana za rękę do okna, wskazał na niską, drewnianą budę — ot, tam, panie! Nie ma pan żadnego fetoru panie, a wygoda jest.

Roman zwrócił się do matki, mówiąc po francusku, że wobec tej, zachwalanej przez gospodarza, wygody, mieszkanie jest niemożliwe do wynajęcia, na co się matka zgodziła.

Gospodarz patrzył nieufnie na rozmawiających w obcym mu języku i spytał:

— No i co?

— Nie możemy wynająć tego mieszkania — odpowiedział Roman — dla braku wygodki.

— Co! — zaczerwienił się gospodarz — to za sto dwadzieścia koron, prócz wspianego mieszkania, zachciewa się wam wygod? To idźcie do Grandu — miał na myśli hotel — albo do Saskiego, płacicie pięćset koron za pokój...

Czajkowska z Ireną wyszły szybko na schody, za nimi szedł Roman, zirytowany gburstwem gospodarza, który nie przestawał wyrzekać na pretensje Królewskich.

— Takie porządne państwa tu mieszkali i nie mieli fanaberyi, aż dopiero te Królewscy, widzicie ich, czego się im zachciewa.

— Ależ to miłutki gospodarz! — zaśmiała się Irena, gdy wyszli na ulicę — nie zazdroścę jego lokatorom. Czy mama spotkała dużo takich przyjemnych Krakowiaków.

— Chyba nie — uśmiechnął się Roman — to pewno wzbogacony rzeźnik, dumny ze swej kamienicy.

— Trzeba dalej szukać — westchnęła matka.

— Poszukamy — mówił Roman — ale niechże mama pozwoli, że i ja się tem zajmę.

— Kiedy bo ty nie zwrócisz uwagi na rozkład, na kuchnię, na wygody... znudzisz się i wynajmiesz za wielkie pieniądze, a wiesz, że nam teraz ciężko.

— Wiem, mam, ale przecież pracę znajdę i będzie nam dobrze.

— Czy jednak znajdziesz? — westchnęła — słyszałaś ilu kandydatów było na posadę Władzia Terlikowskiego.

— To inna sprawa — uśmiechnął się — przepisywać każdy potrafi, ale nie każdy zna korespondencję, buchalterię, towaroznawstwo, zaprowadzenie ksiąg i t. d. i t. d.

— Czy wracacie do hotelu? — spytała.

— A mama?

— Pójdę szukać mieszkania.

— Ja z mamą — rzekł Roman — i tak nie mam nic do roboty.

— Czyż jestem kopcuszką? — zaśmiała się Irena — chcę pracować z wami na równi. Będziemy poznawali krakowskie okazy.

— Chcecie, to chodźcie, ale będziemy szukali na krańcach miasta, mówiono mi, że tam taniej.

— Ach, te ich krańce! — śmiała

się Irena — porządna żaba przeskoczyłaby z krańca na kraniec.

— To prawda, Irenko, miastem nazywają tu rynek i część otoczoną plantami... ale gdzie pójdziemy?

Roman wyjął plan miasta, przystanęli, rozpatrując się w nim.

— Jesteśmy na Karmelickiej — mówił Roman — idźmy do wału kolejowego, to kraniec miasta.

Dopiero na ulicy Zabiej znaleźli kartkę, na trzy pokoje z kuchnią i wszelkimi wygodami. Gdy odczytywali, wyszła z bramy kamienicy niemłoda, szczupła niewiasta, w chusteczce na głowie i spytała uprzejmie:

— Czy państwo za mieszkaniem?

— Tak jest... a można zobaczyć?

— Jak karta wywieszona, to można. Stróżka jestem, mąż mój poszedł do miasta na zarobek, bo z tej mizernej płacy człowiek nie wyżyje.

— Może pójdziemy obejrzeć — przerwał Roman.

— Dlaczego nie... na schody frontowe.

— A kiedy mieszkanie będzie wolne? — spytała Czajkowska.

(Ciąg dalszy nastąpi).